

MIKE
RESNICK
STARSHIP

TOM I
BUNT

WYDAWNICTWO
STARSHIP



MIKE
RESNICK

STARSHIP

TOM I
BUNT

PRZEKŁAD:
ROBERT J. SZMIDT

WYDAWNICTWO
STARSHIP



Cykl STARSHIP:

Tom 1. Bunt

Tom 2. Pirat

Tom 3. Najemnik

Tom 4. Rebeliant

Tom 5. Statek flagowy



Jak zwykle dla Carol oraz dla Lou i Xin Anders



Okręt wisiał w przestrzeni, nieruchomy i matowoszary. Na jego kadłubie nie widać było rdzy, choć wyglądał na taki, który powinien być nią pokryty.

– Mało imponujący widok, sir – stwierdził pilot wahadłowca, gdy maleńka jednostka zbliżyła się do statku.

– Widywałem gorsze – odparł oficer.

– Naprawdę? – zaciekał się pilot. – Kiedy?

– Daj mi godzinę, to sobie przypomnę.

– Ciekawe, czy uczestniczył w wielu akcjach?

– Tutaj? – oficer się skrzywił. – Obawiam się, że jego podstawową funkcją jest *unikanie* walki.

– Zamierza pan się na nim zadekować do końca wojny? – zapytał pilot, uśmiechając się.

– Na to wygląda.

– Nie uwierzę, dopóki tego nie zobaczę, sir.

– Swoje już zrobiłem. Przyda mi się odpoczynek.

Wahadłowiec podchodził do głównej śluzy, a gdy podlegał wystarczająco blisko, rękaw kontaktowy oddzielił się od wielkiego kadłuba i płynnym ruchem połączył obie jednostki. Przypominająca przesłone aparatu fotograficznego pokrywa wjazdu rozsunała się i oficer wkroczył na pokład. Zasalutował niedbale kobiecie w mundurze. Odpowiedziała sprężystym, szybkim ruchem.

– Witamy na pokładzie „Teodora Roosevelta”¹, sir – powiedziała, gdy bez entuzjazmu lustrował otoczenie. Dopiero wtedy zauważył, że przez cały czas bacznie mu się przygląda.

– Coś nie tak, chorąży? – zapytał.

– Powinien pan poprosić o pozwolenie wejścia na pokład, sir – odpowiedziała.

– Przecież już *jestem* na pokładzie.

– Wiem, sir, ale...

– Mój wahadłowiec znajduje się w tej chwili co najmniej pięćset mil od nas i z każdą sekundą się oddala. Co mógłbym zrobić, gdyby odmówiono mi wejścia na pokład?

– Nigdy nie zabroniłabym panu wejścia na pokład, sir – powiedziała głosem zdradzającym napięcie.

– Więc nie musiałem o to prosić, prawda?

– Po prostu przestrzegam przepisów, sir. Proszę o wybaczenie, jeśli pana uraziłam.

– Ucałujemy się i pogodzimy później, chorąży. Teraz zaprowadź mnie do waszego przywódcy.

– Słucham?

– Kapitana tego okrętu. Otrzymałem rozkaz zameldowania się u niego. Albo u niej. Albo u... tego.

– Tak jest, sir! – Chorąży zasalutowała po raz kolejny. – Proszę za mną, sir.

Zrobiła w tył zwrot i ruszyła korytarzem, który, podobnie jak poszycie zewnętrzne jednostki, miał już za sobą lepsze dni, jeśli nie dziesięciolecia. Po chwili zatrzymała się przy szybie windy pneumatycznej i zaczęła. Kiedy dołączył, wstąpili na niewidzialną powietrzną poduszkę, która przeniosła ich trzy pokłady wyżej. Kobieta opuściła windę, a on podążył za nią i wkrótce stanęli przed zamkniętym włazem.

– To tutaj, sir.

– Dziękuję.

– Zanim odejdę, sir... – zaczęła, równie zdenerwowana co zdeteminowana. – Czy mogę uścisnąć pańską dłoń?

Wzruszył ramionami i wyciągnął do niej rękę. Chwyciła ją mocno i z wigorem potrząsnęła.

– Dziękuję, sir! Opowiem o tym dzieciom, gdy się ich dorobię!
Proszę wejść!

Począł, aż drzwi zeskanują siatkówki jego oczu, twarz, sprawdzą wagę oraz budowę ciała i zestawiają je z zapisami figurującymi w komputerach okrętu. Wreszcie włączył się rozsunął. Wszedł do środka. Trafił do niewielkiego i nierobiącego wrażenia gabinetu. Za biurkiem siedział niezwykle wysoki mężczyzna orientálního pochodzenia. Miał z siedem stóp wzrostu. Nosił mundur z dystynkcjami kapitana.

Nowy oficer wystąpił krok naprzód.

– Wilson Cole melduje się do służby.

Kapitan patrzył na niego beznamiętnie i milczał.

– Wilson Cole melduje się do służby – powtórzył oficer.

Gdy po raz kolejny nie otrzymał odpowiedzi, poczuł irytację.

– Przepraszam, sir – dodał. – Nie poinformowano mnie, że mój nowy dowódca będzie głuchoniemy.

– Zamknij się pan, Cole.

Teraz oficer spoglądał na rozmówcę w milczeniu.

– Nazywam się kapitan Makeo Fujiama – powiedział wielkolud. – I wciąż czekam, aż zaszalutujecie i zameldujecie się w regulaminowy sposób.

Cole zaszalutował.

– Komandor Wilson Cole melduje się do służby, sir.

– Już lepiej – uznał Fujiama. – Przeczytałem pańskie akta, panie Cole. Są, delikatnie mówiąc, niezwykle.

– Znajdowałem się w niezwykle okolicznościach, sir.

– Byłbym bardziej skłonny twierdzić, że pan się nie „znajdował”, lecz ładował w niezwykle okoliczności, panie Cole – odparł kapitan. – Nie da się jednak zaprzeczyć, że otrzymał pan trzy Medale za Odwagę i dwie Pochwały za Wyjątkową Waleczność. To imponujące osiągnięcia, można by rzec, niemające równych w annałach floty.

– Dziękuję, sir.

– Z drugiej strony dwukrotnie powierzano panu stanowisko dowódcy okrętu i za każdym razem był pan degradowany. Hańba, panie Cole.

– Taka jest biurokracja, kapitanie Fujiama.

– To była niesubordynacja. Odmówił pan wykonania rozkazów w czasie działań wojennych.

– Walczymy z Federacją Teroni od jedenastu lat. Moim zadaniem jest wygrać tę cholerną wojnę i wrócić do domu. Gdy otrzymywałem idiotyczne rozkazy, ignorowałem je.

– Czym narażał pan okręt i wszystkich ludzi znajdujących się pod pańskim dowództwem na niebezpieczeństwo – podsumował Fujiama.

Cole spojrzał nowemu dowódcy prosto w oczy.

– Wojna to piekło, sir – powiedział po chwili milczenia.

– Podejrzewam, że głównie za sprawą ludzi takich jak pan.

– W obu przypadkach zastosowana przeze mnie taktyka okazała się słuszna – odparował Cole. – Dlatego odbierano mi tylko dowodzenie i okręt. Gdybym zawiódł, gniłbym w jakimś brygu, wiemy o tym obaj.

– Trafił pan do brygu, panie Cole – rzekł Fujiama. – Jak my wszyscy.

– Sir?

– „Teodor Roosevelt” nie wygląda może na latające więzienie, ale w praktyce nim właśnie jest – oznajmił kapitan. – Ten okręt ma ponad sto lat. Zgodnie z regulaminem powinien leżeć na złomowisku od pięciu dziesięcioleci, ale nasze nieustanne zaangażowanie w wojny sprawiło, że potrzebujemy wszystkich jednostek, które potrafią przemierzać przestrzeń. Znaczna część załogi także powinna dawno przejść do cywila z takich czy innych powodów, ale nasza Republika nie ma zwyczaju nagradzać złych poddanych, odsyłając ich w domowe pielesze. Dlatego „Teodor Roosevelt” operuje właśnie w tym, najmniej zaludnionym sektorze Obrzeży. Rzadko zdarza się nam lądować na którejś z planet, nie bierzemy udziału w prawdziwych walkach, krótko mówiąc, jesteśmy idealną przechowalnią dla załogantów, którzy – jak pan – nie potrafią wykonywać rozkazów bądź przestali być dopasowanymi elementami gigantycznej maszyny wojennej. Wszyscy jesteśmy na bakier z dyscypliną, a większość moich podwładnych ma flotę w takim samym, jeśli nie mniejszym, poważaniu, co Federację Teroni... – Kapitan przerwał. – Mam nadzieję, że ten krótki opis pozwolił panu ogarnąć sytuację.

Komandor przez chwilę rozważał usłyszane słowa.

– A czym pan zawinił, sir? – zapytał w końcu.

– Zabiłem siedmiu oficerów floty.

– Naszych czy wrogich?

– Naszych.

– Rozumiem, że przypadkiem.

– Nie – odparł Fujiama tonem, który niedwuznacznie sugerował, iż wyczerpali temat.

Zapadła niezręczna cisza, którą przerwał Cole.

– Zadowolę się założeniem, że zasłużyli sobie na śmierć, sir. Chciałbym zapewnić, że nie zamierzam nikomu sprawiać problemów.

– Mam taką nadzieję, panie Cole – powiedział kapitan. – Chociaż idę o zakład, że wszyscy zainteresowani zeznaliby pod przysięgą, iż sprawianie kłopotów to pańska specjalność. Będę szczery: czy mi się to podoba czy nie, a co więcej, czy to się *panu* podoba czy nie, pańskie czyny sprawiły, że znaczna część załogi widzi w panu bohatera. Ułatwi mi pan pracę, jeśli postara się pan świecić przykładem.

– Zrobię, co w mojej mocy, sir – odparł Cole. – Czy to już wszystko?

– Pańskie zadania będą wysyłane do każdego komputera pokładowego. Wszelkie prywatne wiadomości i rozkazy wydawane przeze mnie albo komandor Podok będą się pojawiały wyłącznie na pana osobistych terminalach.

– Komandor Podok?

– Nasz pierwszy oficer.

– „Podok” nie brzmi jak ludzkie nazwisko – zauważył Cole.

– Ona jest Polonoi – odparł Fujiama, przyglądając mu się uważnie. – Ma pan z tym jakiś problem?

– Dla mnie to bez znaczenia – zapewnił Cole. – Byłem po prostu ciekaw.

– Dobrze. Gdyby istniały choćby najmniejsze szanse na spotkanie terońskiego okrętu wojennego, kazałbym panu przez kilka dni pełnić służbę ze mną lub Podok, aż nabierze pan wprawy. Ale znajdujemy się na końcu świata, a pan dowodził już większymi okrętami. Dlatego od razu obejmie pan niebieską wachtę.

– Niebieską wachtę, sir?

– Tak je tutaj nazywamy – poinformował Fujiama. – Czerwona zaczyna się o godzinie zero i kończy o ósmej czasu pokładowego. Biała trwa od ósmej do szesnastej, a niebieska od szesnastej do dwudziestej czwartej. Komandor Podok obecnie dowodzi białą wachtą, a pan zastąpi trzeciego oficera Forrice’a, który został czasowo przydzielony do wachty niebieskiej.

– Forrice? – powtórzył Cole. – Kilka lat temu poznałem Molarianina, który tak się nazywał. Mówiliśmy o nim „Cztery Oczy”. Nie dość, że nick brzmiał po angielsku niemal identycznie jak jego nazwisko, to faktycznie *miał* tyle oczu.

– Nasz Forrice jest Molarianinem.

– Nie może być dwóch Molarian o tym samym nazwisku służących w obrębie Obrzeży – uznał Cole. – Miło będzie pracować z dawnym przyjacielem. – Po chwili dodał: – A kogo *on* zabił?

– Prawdę powiedziawszy, trafił do nas, ponieważ odmówił odebrania życia pewnej osobie – oświadczył Fujiama.

Cole szykował się do zadania kolejnego pytania, ale kapitan podniósł rękę.

– Nie omawiam z górą szczegółów popadnięcia w niełaskę moich podwładnych.

– Nigdy?

– Wyjątkiem są sytuacje, w których dowództwo uzna, że człowiek taki może zagrażać bezpieczeństwu okrętu.

– Ciekaw jestem, ile takich przypadków panu zgłoszono.

Fujiama westchnął ciężko.

– Wliczając w to pana, jeden.

– Mam wrażenie, że powinienem czuć się zaszczycony.

– Nie sędzę – odparł Fujiama z powagą. – Będę szczery, panie Cole... Przypuszczam, że nie ma na pokładzie tego okrętu załoganta, który bardziej niż ja podziwiałby pańską odwagę i osiągnięcia. Ale może być pan pewien, że zareaguję z całą stanowczością, jeśli odmówi pan wykonania rozkazów albo zacznie mieć zły wpływ na i tak znikomą dyscyplinę.

– Już to powiedziałem, kapitanie Fujiama. Wiem, po której stronie lufy znajduje się wróg.

– I dobrze – podsumował dowódca. – Proszę postępować zgodnie z procedurami i regulaminem floty, a nie będziemy mieli ze sobą problemów. Może pan odejść.

Cole opuścił gabinet i zobaczył, że kobieta, która go przyprowadziła, wciąż stoi w korytarzu. Najwyraźniej na niego czekała.

– Cieszę się, że pan przetrwał, sir – oznajmiła z uśmiechem.

– Ktoś w to wątpił?

– Góra Fuji zabijał już oficerów.

– Mam nadzieję, że nie za meldowanie się do służby – odparł Cole, odwzajemniając uśmiech. – Więc tak go nazywacie? Górą Fuji?

– Nikt nie ośmieli się powiedzieć mu tego prosto w oczy, sir.

– Cóż, jest wielki jak góra – powiedział komandor. – Jak mam się zwracać do ciebie?

– Chorąży Rachel Marcos, sir.

– A co jeśli pomnę stopień oraz nazwisko i będę mówił do ciebie Rachel?

– Cokolwiek pan sobie życzy, sir.

– Przede wszystkim życzę sobie obejrzeć moją kwaterę – wyznał Cole. – Domyślam się, że mój bagaż już tam trafił.

– Pańska kabina jest teraz dokładnie czyszczona przez automaty porządkowe, sir – poinformowała Rachel. – Bagaż znajduje się na pokładzie i zostanie do niej dostarczony dopiero po zakończeniu procedur sterylizacyjnych.

– Procedur sterylizacyjnych? – powtórzył Cole, marszcząc brwi. – Na co, do jasnej cholery, zmarł mój poprzednik?

– Nie umarł, sir. Został przeniesiony.

– To dlaczego...?

– Był Morowitą.

– I?

– Morovici są insektożercami, sir. Miał w swojej kabinie sporo przekąsek. Z tego, co wiemy, część z nich uciekła mu przed czterema miesiącami. Drugiemu oficerowi niespecjalnie to przeszkadzało, ale kilka gatunków tych robali może nie lubić towarzystwa ludzi. Upewniamy się, czy nie została tam jakaś larwa albo jajo.

– Obiecuję, że wszystko, co będę jadł na mojej koi, będzie martwe, i to od bardzo dawna – zapewnił ją Cole.

– Kambuz jest czynny całą dobę – oświadczyła z całkowitą powagą. – Członkowie załogi, bez względu na rasę, nie muszą zanosić jedzenia do kabin.

– Konsumpcja w łóżku bywa zabawna.

– Zabawna, sir? – zapytała, unosząc brew.

– Rachel, chyba za długo służysz we flocie.

– Też tak myślę, sir.

– Hm, zatem... masz poczucie humoru... – Cole przerwał, oparł dłonie na biodrach i rozejrzał się po korytarzu. – Dobrze, mam sporo czasu do objęcia wachty, a kajuta jeszcze nie jest gotowa. Możesz mi posłużyć za przewodniczkę?

– Spora część okrętu nie powinna pana interesować, sir. Mówię o kwaterach załogi, mesie i tym podobnych.

– Wszystko mnie interesuje – zaprotestował komandor. – Mam dowodzić tym statkiem przez jedną trzecią doby pokładowej. Powinienem zapoznać się z jego stanem.

Rachel znów się zachmurzyła.

– Wydawało mi się, że będzie pan drugim oficerem, sir.

– Zgadza się.

– Zatem *nie* będzie pan dowodził „Teddym R.”.

– Tak go nazwaliście? „Teddy R.”?

– To jedno z przyjemniejszych określeń, sir.

– Wracając do kwestii dowodzenia, bezsenssem jest utrzymywanie wszystkich oficerów na służbie w tym samym czasie, podobnie jak pozwalanie im na sen o tej samej porze. No, chyba że jesteśmy atakowani. Dlatego powiedziałem, że podczas mojej wachty będę dowodził okrętem.

– Rozumiem, co miał pan na myśli, sir. Ale zabrzmiało to, jakby pan... – pozwoliła swoim słowom zawisnąć w powietrzu.

– Jakbym zamierzał przejąć dowodzenie? – dokończył Cole. – Nie, nie. Może nie potrafię wyrecytować regulaminu floty słowo po słowie, ale wiem, że w sytuacji zagrażającego ataku moim pierwszym obowiązkiem jest powiadomienie o tym kapitana. – Uśmiechnął się.

– Ten facet musi niesamowicie wyglądać, kiedy zbudzi się go

w środku nocy. Jeśli kiedykolwiek dojdzie do podobnej sytuacji, wyślę do niego ciebie.

– Tak jest, sir! – oznajmiła i Cole musiał przyznać, iż jego wcześniejsza ocena dotycząca jej braku poczucia humoru była więcej niż prawidłowa.

– Cóż, skoro to już ustaliliśmy, czy możemy przejść do zwiedzania okrętu?

– Tak jest, sir!

– Chwileczkę... – Powstrzymał ją, przyglądając się uważnie istocie, która sunęła korytarzem w ich stronę. – Co to, do cholery, za stwór?! – dodał, podnosząc głos.

– Też cię kocham, paskudny malkontencie! – zagrmiał dziwoląg.

Miał nie więcej niż pięć stóp wzrostu, poruszał się zaś na trzech krzywych nogach, raczej rotując, niż idąc prosto. Trzy bezkostne macki zwisały mu u boków. Pudełkowata, kanciasta głowa stanowiła siedlisko dla czworga oczu – para największych skierowana była do przodu, dwoje dodatkowych zdobiło jej boki. Dwie długie, biegnące pionowo szpary pełniły rolę nozdrzy, usta były okrągłe i mocno wystające, a uszy kryły się pod niebieskim puchem, który porastał całe ciało kosmity. Jedynym strojem osobnika był metaliczny czerwony kaftan, na którym wisiały dystynkcje trzeciego oficera i imponująca liczba medali.

– Cóżś porabiał, Cztery Oczy, gdy cię nie było? – spytał Cole.

– Trzymałem się z dala od problemów. – Odpowiednik ludzkiego uśmiechu przemknął przez usta kosmity. – Wierz mi, tutaj to nie wymaga wielkiego wysiłku.

– Pan zna komandora Forrice’a, sir? – odezwała się Rachel.

– Tak, chorąży – odparł Cole. – Uścisnąłbym go, ale nie lubię zbliżać się do obrzydliwych rzeczy.

– I właśnie dlatego nigdy nie poproszę cię o pomoc w łowach na molariańskie samice podczas rui – odciął się Forrice.

– Łaskawco! Dziękuję! – Cole wybuchnął śmiechem, a Forrice wydał z siebie dwa przeciągłe, niskie gwizdy. – Wiesz, Rachel, dlaczego lubię tych molariańskich sukinsynów? To chyba jedyne istoty w galaktyce, które potrafią się śmiać, oczywiście jeśli nie liczyć ludzi. Tylko oni, prócz nas, mają poczucie humoru. Dowiesz się, Rachel, jaka to wielka różnica, jeśli utkniesz kiedyś sam na sam z obcym na pokładzie. – Cole zwrócił się do Forrice’a: – Cieszę się, że cię znowu widzę. Jesteś teraz na służbie?

– Nie, właśnie szedłem do mesy. Zabierzesz się ze mną? Po drodze wprowadzę cię w tutejsze obyczaje.

– Brzmi kusząco. – Komandor spojrzał na Rachel. – Widzę, że tym razem nie będę potrzebował przewodnika. Jeśli mi powiesz, gdzie znajdę swojąabinę, nie będę cię dłużej zatrzymywał.

– Dostał kajutę po Morovicie? – zapytał Forrice.

– Tak jest, sir.

Molarianin znów gwizdnął.

– I *to* jest prawidłowe powitanie na „Teddym R.”. – Odwrócił się do Cole’a. – Z największą radością odprowadzę cię na miejsce, jak już wyjdziemy z mesy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko spaniu w skafandrze próżniowym przez kilka pierwszych miesięcy?

– Oszczędź mi wygłupów i chodźmy się czegoś napić.

– Napić? – powtórzył Forrice. – Nie jesteś głodny po tak długiej podróży?

– Jedno spojrzenie na ciebie odebrałoby apetyt każdemu – stwierdził Cole. Odwrócił się do Rachel i zasalutował. – To na razie wszystko, chorąży.

Odpowiedziała salutem i ruszyła korytarzem w tę samą stronę, w którą i oni zamierzali się udać.

– Więc co się z tobą działo... naprawdę? – spytał Cole, gdy Molarianin prowadził go w stronę windy pneumatycznej.

– Było bardzo dobrze. Nie zdegradowali mnie. – Kosmita spojrzał na ramię Cole’a. – Ciebie, jak widzę, ta przyjemność nie ominęła.

– Dwa razy.

Wyszli z windy do mesy oficerskiej. Przy stolikach siedziało dwóch ludzi i Molarianin, każdy osobno. Cole i Forrice znaleźli stół w kącie sali, zajęli przy nim miejsca, po czym złożyli zamówienie wmontowanemu w blat komputerowi.

– Nadal pijesz kawę – zauważył Forrice.

– Wciąż chłepczesz krew Anglików.

– Że co?

– Zapomnij – mruknął Cole. – Jak tu karmią?

– Jak dla mnie nieźle. Czy tobie będzie smakowało, nie wiem.

– Przejdźmy do interesów. Czy „Teddy R.” brał udział w jakiejś akcji?

– Może siedemnaście, osiemnaście lat temu – odpowiedział Forrice. – Widziałeś go. Gdyby miał kolana i został zaatakowany, padłby na nie, żeby błagać o miłosierdzie.

– Ale poważnie, czy on *może* się obronić, jeśli przyjdzie co do czego?

– Mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiemy.

– A jak załoga?

– Tacy jak my.

– Jak my?

– Większość z nich ma za sobą... *przeszłość*. – Forrice zniżył głos.

– Są tak zniechęceni i zgorzkniali, że przynajmniej jedna trzecia jedzie na prochach. A ponieważ to władze ich dorwały i zesłały na „Teddy’ego R.”, nie cierpią wszelkiego zwierzchnictwa.

– Czyli... mówimy o sporej ilości narkotyków. Skąd je biorą?

– Podejrzewam, że w ciągu ostatnich dwóch lat zostało ich przemyconych mnóstwo – odparł Forrice. – Poza tym... Na każdej jednostce ludzie stają na głowie, by wydostać się z izby chorych, prawda? Na „Teddym R.” mają zwyczaj włamywania się do niej.

– Zatem patrolujemy sektor, którego nikt nie chce, z załogą, której nikt nie chce, na pokładzie okrętu, którego nikt *nie powinien* pragnąć – podsumował Cole. – Mam wrażenie, że obcujemy ze swego rodzaju matematyczną klarownością.

– Optymista – uznał Molarianin.

– Do diabła, tęskniłem za tobą, Cztery Oczy! – wyznał Cole. – Molarianie są być może najbrzydszymi stworzeniami, jakie wyszły spod boskiego dłuta, ale to jedyna rasa, która myśli podobnie jak my.

– Bóg stworzył nas dopiero wtedy, gdy pojął ogrom błędów popełnionych przy kreowaniu ludzi.

– Jakie inne rasy mamy na pokładzie? Kapitan wspomniał Polonoi.

– Tak, mamy tutaj sporo Polonoi, do tego kilku Mollutei, Bedalianina, a nawet jednego Tolobitę.

– Tolobitę? – powtórzył Cole. – Co to, do diabła, jest? Nigdy nie słyszałem.

– Jeszcze pięćdziesiąt lat temu nie mieliśmy pojęcia, że istnieją. Poczekaj, aż go zobaczysz. Ta rasa żyje w symbiozie z małymi, świadomymi stworzeniami.

– Widywałem już wcześniej symbiontów – odparł niewzruszony Cole.

– Nie takich – zapewnił go Forrice. – Byłbym zapomniał o Bdxeni, ale wiesz, praktycznie go nie widzimy.

– Dzisiaj chyba na każdym cholernym okręcie Republiki możesz się natknąć na Bdxeni. Nigdy nie śpią, więc stanowią idealny materiał na pilotów. Domyślam się, że nasz zajmuje to właśnie stanowisko.

– Tak – odparł Forrice. – Podpięli go do komputera nawigacyjnego. I to dosłownie. Kable wychodzące z jego głowy zostały podłączone do komputera... albo na odwrót. Nie wiem, czy maszyna odczytuje jego myśli, czy on czyta myśli maszyny, tak czy owak „Teddy R.” leci tam, gdzie chce Bdxeni, więc układ działa.

– Opowiedz mi o kapitanie. Jaki on jest?

– Góra Fuji? Bardzo kompetentny, bardzo porządny. I całkowicie nieszczęśliwy.

– Nieszczęśliwy?

– Śmiertelnie przygnębiony. To trafniejsze określenie.

– Dlaczego? – zdziwił się Cole. – Wciąż ma statek pod dowództwem.

– Stracił na wojnie córkę i trzech synów. Najmłodsze z jego dzieci zaciągnęło się w zeszłym miesiącu.

– Powiedział, że zabił garść oficerów. Możesz coś o tym powiedzieć?

– Znam tylko pogłoski. Z doświadczenia wiem, że większość oficerów zasługuje na śmierć. Z wyjątkiem tu obecnych, rzecz jasna.

Dlaczego się śmiejesz?

– Wiem, że potraficie myśleć jak ludzie – powiedział Cole. – Ale nie mogę wyjść z podziwu, jak szybko przyswoiliście sobie wzorce naszej mowy.

– A czego oczekiwaleś? Terrański jest językiem urzędowym Republiki. Jeśli mieliśmy z wami służyć, musieliśmy go poznać.

– Wszyscy się go uczą albo przynajmniej korzystają z T-torów do tłumaczeń. Ale tylko Molarianie opanowali go do perfekcji.

– Jesteśmy inteligentni, jak sądzę.

Blat stołu rozsunął się na boki, odsłaniając zamówione drinki. Cole uniósł swój i wyciągnął rękę w stronę rozmówcy.

– Za długą, nudną i spokojną służbę.

Niestety, był tylko oficerem, nie zaś jasnowidzem.

¹ Opis okrętu „Teodor Roosevelt”, rys historyczny opowiadający o człowieku, którego imię nadano tej jednostce, opowieść Mike’a Resnicka o tym, jak doszło do stworzenia świata ukazanego w powieści oraz charakterystyki występujących w niej bohaterów zamieszczono w appendixach znajdujących się na końcu niniejszej książki [przyp. red.].



Forrice pokazał Cole'owi cztery opancerzone wahadłowce, które były przymocowane do kadłuba, a potem zabrał go do sekcji bezpieczeństwa, gdzie za biurkiem siedziała drobna, szczupła kobieta wpatrująca się w szereg holograficznych ekranów unoszących się

w powietrzu na wysokości jej twarzy. Gdy dostrzegła, że nie jest sama, wypowiedziała krótką komendę i wszystkie wyświetlacze zniknęły.

– Wilson, poznaj Sharon Blacksmith – odezwał się Forrice. – Pułkownik Blacksmith jest naszym szefem ochrony.

– I wiem, kim jesteś – rzuciła kobieta, wstając zza biurka. – Twoja reputacja cię wyprzedza, komandorze Cole.

– Wystarczy „Wilson” – zapewnił mężczyzna.

– Zgoda. O ile w pobliżu nie ma Góry Fuji albo Podok, jestem Sharon.

– Pułkownik Blacksmith jest o tyle nietypowym członkiem załogi „Teddy’ego R.”, że zawsze wie, co robi i jest piekielnie skuteczna – zapewnił Molarianin.

Kobieta przyglądała się Cole’owi.

– Jesteś trochę niższy, niż myślałam.

– Gówno prawda – odparł.

– Wilson! – zawołał zaskoczony Forrice.

– To ty wprowadzałaś mój profil do komputerów bezpieczeństwa tej jednostki, więc musiałaś osobiście zapoznać się ze wszystkimi danymi. Gdybym był o pół cala wyższy albo niższy, niż myślałaś, o pięć funtów cięższy lub lżejszy, wszystkie pieprzone alarmy na pokładzie zawyłyby jak wściekle psy, gdy tylko postawiłem stopę w służbie... – zamilkł i uśmiechnął się. – Zdałem pierwszy test?

– Z wyróżnieniem – odparła, odwzajemniając uśmiech. – Mam nadzieję, że nie poczułeś się urażony.

– Ani trochę. Miło wiedzieć, że mamy kompetentną osobę na stanowisku pokładowego szefa ochrony. Pozwól, że cię o coś zapytam.

– Wal.

– Z tego, co wiem, „Teddy R.” nie lądował na żadnej planecie od ponad pół roku. Jestem piątym członkiem załogi, jaki w tym czasie trafił na jego pokład. Pytanie brzmi: co robisz z czasem?

– Bardzo rozsądne pytanie – przyznała Sharon. – Monitoruję wszystkie transmisje, prowadzę obserwację najistotniejszych pomieszczeń naszego okrętu, staram się ograniczać handel narkotykami pomiędzy członkami załogi, pilnuję, żeby nikt nikogo nie zabił, a takie usiłowania zdarzają się od czasu do czasu, no i upewniam się, czy oficerowie dyżurni wykonują co godzinę regulaminowe skanowanie przestrzeni wokół „Teddy’ego R.”.

– Wydawało mi się, że w promieniu wielu parseków od naszej pozycji nie powinno być terońskich jednostek.

– Też mam taką nadzieję, ale ich flota nie jest jedynym zagrożeniem. Tylko w ciągu ostatniego roku na siedemnastu okrętach dokonano aktów sabotażu. Sześć z nich miało wyłącznie ludzką załogę, na trzech kosmici stanowili około osiemdziesięciu procent stanu osobowego, trafił się też taki, na którym nie było ani jednego człowieka. To oznacza, że ktoś potrafi skorumpować zarówno ludzi, jak i przedstawicieli innych ras. Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie bodźce trzeba zastosować, aby nakłonić kogoś do wysadzenia własnej jednostki, ale dzięki tym siedemnastu przypadkom wiem, że jest to możliwe. Dlatego moim nadrzędnym zadaniem jest upewnienie się, że tu się to nie zdarzy.

– Siedemnaście przypadków? Słyszałem o dwóch, może trzech. Nie miałem pojęcia, że było ich tak wiele.

– Flota nie ma w zwyczaju chwalić się takimi sprawami.

– Więc trzymają to w tajemnicy, dzięki czemu gdy ludzie dostrzegą jakąś podejrzaną aktywność, nie rozpoznają zagrożenia.

– Podobasz mi się, komandorze – wyznała.

– Wilson – poprawił ją.

Otworzyła szufladę biurka i wyjęła srebrną piersiówkę.

– Napijesz się?

– Jaka jest kara za picie na służbie?

– Jej nałożenie zależy od tego, czy przyłapie cię ochrona.

– W takim razie poproszę – powiedział, przyjmując flaszkę. Otworzył ją, pociągnął łyk i odwrócił się do Molarianina. – Poczestowałbym cię, ale pewnie oblałbyś się gorzałką i zeżarł flaszeczkę.

– Następnym razem, gdy Teroni wyznaczą nagrodę za twoją głowę, o wiele poważniej zastanowię się nad ich propozycją – odparł Cztery Oczy.

– Nie powinnam tego mówić – wtrąciła Sharon. – Ale od momentu, w którym dowiedzieliśmy się, że zostaniesz tu przeniesiony, Forrice wyłaził ze skóry. Pewnie nie usłyszysz od niego jednego dobrego słowa, ale mnie wciąż karmił opowieściami o twoich wyczynach.

– Myślę, że flota nazwałaby je niefortunnymi wypadkami – rzekł kwaśno Cole.

– Załoga „Teddy’ego R.” wie lepiej – zapewniła Sharon. – Stałeś się dla nas czymś w rodzaju legendy.

– Nie zawstydzaj mnie pierwszego dnia służby – poprosił Cole, czując się naprawdę niezręcznie.

– Nie ma sprawy – zgodziła się i odebrała mu piersiówkę. – Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

– Prawdę mówiąc, tak. Powiedz, jaki jest dokładny skład załogi?

– Mamy na pokładzie trzydziestu siedmiu ludzi, pięciu Polonoi, czterech Molarian, Tolobitę, Morovitę, Pelleanorczyka, Orovitkę, Bedalianina i Bdxeni.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– To głupie.

– Co?

– Skoro flota troszczy się o samopoczucie załogantów, dlaczego mamy na pokładzie tylu samotnych przedstawicieli swoich ras? Nie mają z kim pogadać, dzielić się światopoglądem i doświadczeniami.

– To nie do końca prawda. Tolobita ma symbionta, a Bdxeni pracuje każdą minutę każdego dnia i nie potrzebuje rozprożeń.

– Mimo to...

– Nie mamy wpływu na to, kogo przysyła nam flota – odparła Sharon.

– Nie sugerowałem bynajmniej, że to ty jesteś głupia – sprostował Cole. – Tak kretyńskie rozporządzenia muszą iść z samej góry.

– Miałeś rację, Forrice. – Sharon zwróciła się do Molarianina. – On ma zalety. Komandorze Cole... przepraszam, Wilson, mam przeczucie, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

– To dobrze – odparł Cole. – Przyda mi się każda przyjazna dłoń.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś?

– W zasadzie to nie wyraziłem dotąd swojej właściwej prośby.

– Chciałeś poznać skład załogi – przypomniała.

– To był tylko wstęp do głównej kwestii. Chciałbym mieć dostęp do danych, jakie masz na temat każdego członka załogi. Chcę dowiedzieć się wszystkiego na temat ludzi i kosmitów, z którymi będę służyć.

– Jakie masz uprawnienia bezpieczeństwa?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie o poziom albo i dwa poniżej tego, co miałem do tej pory – przyznał.

– Sprawdzę i dam ci dostęp odpowiedni do twoich uprawnień.

– Dzięki. Miło było cię poznać, obawiam się jednak, że powinienem się już oddalić. Zanim rozpocznę pracę, szanowny przewodnik musi zdążyć mi co nieco pokazać.

– Będziemy się widzieć jeszcze wiele razy – zapewniła.

– Jeśli mogę jeszcze zapytać: co tak kompetentny oficer robi na takim okręcie?

– Tak ładnie to powiedziałeś, że nie zawiodę cię, odpowiadając.

– Co chcesz teraz zobaczyć? – spytał Forrice. – Mostek?

– Każdy mostek wygląda w gruncie rzeczy tak samo – odparł Cole. – Pokaż mi coś innego.

– Ale większość czasu będziesz spędzał właśnie tam – przypomniał mu Molarianin.

– Chyba żartujesz. – Cztery Oczy spojrzał na Wilsona ciekawie. – Mamy na ciągłej wachcie pilota, oficera artylerii, nawet oficera pokładowego. Mogę z każdego miejsca na tym okręcie zobaczyć i usłyszeć to samo, co oni, mogę wydawać im rozkazy bez względu na to, gdzie się aktualnie będę znajdował. Dlaczego miałbym ślęczeć godzinami na mostku, obserwując ekrany i wpatrując się w ich potylice?

– Nie dziwota, że odbierano ci dowództwo – uznała Sharon. – Jesteś zbyt racjonalny na tę robotę.

– Dobra – rzucił Forrice. – Co chcesz, żebym ci teraz pokazał?

– Jakie tu macie miejsce do ćwiczeń?

– Małe. Połowę sprzętu przeznaczono dla ludzi, resztę dla pozostałych ras.

– Przynajmniej przejdźmy obok, żebym wiedział, jak tam trafić. Potem obejrzymy izbę chorych.

– No to chodź.

Forrice wyszedł na korytarz i zaprowadził Cole'a do windy pneumatycznej. Wjechali na wyższy pokład i tam obejrzeni siłownię – pomieszczenie było zbyt małe i za bardzo zagrożone, by mogło zyskać miano centrum odnowy biologicznej – a potem udali się do izby chorych.

– Niezła – przyznał Cole, oglądając wyposażenie niewielkiej sali operacyjnej. – Nowocześniejsza, niż przypuszczałem.

Przeszedł przez jeszcze mniejszą salę pooperacyjną, a potem zajrzał do zwykłych pomieszczeń dla pacjentów. W jednym stały cztery łóżka dla ludzi i, za doskonale zamaskowanym przepierzeniem, trzy kolejne, dostosowane do kształtów pozostałych istot służących na pokładzie.

– Optymiści – mruknął.

– Optymiści? – powtórzył Forrice.

– A co, jeśli rany odniesie dziesięciu członków załogi? Albo nastąpi masowe zatrucie pokarmowe?

– „Teddy R.” nie znalazł się jeszcze nigdy w sytuacji, która groziłaby jednoczesnym zranieniem dziesięciu członków załogi –

odparł Molarianin. – Nigdy też nie mieliśmy tutaj dobrego żarcia. Zdążyliśmy się uodpornić na wszelkie zarazy.

– Ilu mamy lekarzy?

– To zabrzmiało jak głupi dowcip – uprzedził Forrice.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? Ilu?

– Jednego. To Bedalianin imieniem Tzinto.

– Nie ma na pokładzie człowieka lekarza?

– Był jeden.

– I co się z nim stało?

– Miał atak... bezużytecznego organu, który posiadają tylko ludzie.

– Pękł mu wyrostek robaczkowy?

– Dokładnie! – potwierdził Forrice. – Wyrostek. Zmarł na stole operacyjnym.

– Dzięki. Nawet nie wiesz, jak bardzo podbudowałeś moje zaufanie do umiejętności kolegi Tzinto.

– To nie była jego wina. Ma specjalizację z fizjologii innych ras.

– Wystąpiliśmy o zastępstwo na stanowisku lekarza dla ludzi? – zapytał Cole.

– Tak, ale wiesz, tam toczy się wojna – wyjaśnił Cztery Oczy. – *Prawdziwa* wojna, nie bezsensowne patrolowanie. Nie mają lekarzy na zbyciu.

– Fujiama się mylił, i to bardzo – stwierdził Cole. – W więzieniach zapewniają przyzwoitą opiekę lekarską.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– O niczym – uciął komandor. – Okej, widziałem, co trzeba. Chodźmy dalej.

– To całkiem zwyczajny statek – zapewnił Molarianin. – Zostały nam do zwiedzenia tylko przedział bojowy, kilka laboratoriów naukowych, zresztą w większości nieużywanych, kwatery załogi i mostek.

– Poprowadź mnie każdym korytarzem na każdym pokładzie – poprosił Cole. – Chcę zobaczyć kambuz, magazyny, toalety, wszystko. Jeśli mam spędzić na tym okręcie kilka najbliższych lat, powinienem poznać go w każdym calu.

– Pierwszego dnia?

– Nigdy nic nie wiadomo. Może dzień sądu jest bliski? – Komandor zorientował się, że Forrice nie łapie jego żartu, więc wzruszył ramionami i skierował się do najbliższej windy.

Molarianin wyminął go i wskazał inną, znajdującą się w głębi korytarza.

– Ile wy tu macie pokładów? – spytał Cole. – Czy nie wszystkie windy prowadzą na te same poziomy?

– Prowadzą. Ale ta, którą wybrałeś, jest obszerniejsza. Pozwala na transport noszy lub tobograwu. Otrzymaliśmy zakaz korzystania z niej, z wyjątkiem sytuacji alarmowych.

– Ile razy od momentu twojego przybycia na pokład przewożono kogoś do izby chorych za pomocą noszy lub tobograwu?

– Wydaje mi się, że cztery. Może nawet pięć.

– A od ilu miesięcy tu służysz? Weźmiemy tę windę.

– Nie mogę sprzeciwiać się rozkazom oficera, który jest moim bezpośrednim przełożonym – oświadczył Cztery Oczy bardzo zadowolonym tonem i podążył w ślad za komandorem do drzwi najbliższej kabiny.

Pojechali w górę do przedziału artyleryjskiego, gdzie Cole spotkał się z trzema sierżantami – człowiekiem, Polonoi i Molarianinem – którzy dbali o należyty stan broni pokładowej. Cole zastanawiał się, jak systematyzowano rangi wojskowe przed unifikacją rasową, gdy w sprzymierzonych flotach wyodrębniono pięć niewiele się różniących stopni podoficerskich, osiem klas marynarzy (choć zapewne żaden z nich nie służył na morzu) i sześć stopni odpowiadających mniej więcej randze porucznika. Te rozbieżności były jednym z najważniejszych powodów normalizacji i powrotu do tradycyjnej hierarchii. Do sierżantów, majorów, pułkowników i całej reszty.

Szybka inspekcja utwierdziła go w przekonaniu, że każda terońska jednostka, którą mogą napotkać po drodze, będzie miała sporą przewagę ogniową nad „Teddym R.”. Złożył jeden autograf (ku jego zdumieniu poprosił o to nie człowiek, a Molarianin) i przeszedł do sektora zajmowanego przez laboratoria naukowe. Sprzęt w nich zgromadzony nie wyglądał na przestarzały, ale wszystkie pomieszczenia były puste. Obaj naukowcy korzystali z popołudniowej przerwy na odpoczynek, a drzwi kompleksu strzegł jeden wyraźnie znudzony chorąży.

Potem Forrice zabrał Cole’a na szybki przegląd kwater załogi, które kojarzyły się raczej z tanim, podniszczonym hotelem niż sekcją mieszkalną okrętu wojennego. Cole złapał się na tym, że nie zdziwiłby się, gdyby w którymś z korytarzy wyczuł odór uryny. Kajuty zajmowały trzy sąsiadujące ze sobą pokłady, przy czym najniższy poziom przystosowano do potrzeb załogantów innych ras.

– Mieszkasz w tej okolicy? – spytał Cole, gdy zakończyli inspekcję piętra dla obcych.

– Na końcu korytarza – odparł Forrice.

– Wpadnijmy do ciebie na minutę.

Molarianin wyglądał przez chwilę tak, jakby chciał zapytać, po co mają to robić, ale w końcu odpuścił i ruszył przodem.

W kajucie spoczywało wielkie łóżę przystosowane do molariańskich kształtów i także krzesła. Na ścianach wisiały koszarne hologramy, które najwyraźniej cieszyły oko właściciela. Na biurku stały dwa komputery. Jednym z nich był klasyczny Steinmetz/Norton z pamięcią pęcherzykową, drugi zaś model Cole widział po raz pierwszy w życiu.

– No to jesteśmy – powiedział Forrice. – Co teraz?

– Zamknij drzwi.

Cztery Oczy przekazał komputerowi polecenie i przypominające przysłone aparatu fotograficznego elementy włazu zsunęły się z trzaskiem.

Cole wyjął z kieszeni przenośny terminal i poprosił o połączenie z Sharon Blacksmith. Jej głowa pojawiła się kilka cali nad wyświetlaczem. Unosiła się w powietrzu, z zaciekawionym wzrokiem utkwionym w Cole'u.

– Tak, komandorze?

– Przed laboratoriami naukowymi stoi na warcie chorąży.

– Zgadza się.

– Dlaczego? Monitorujesz te pomieszczenia przez całą dobę. Czy ktoś zamierzał je zniszczyć?

– Nie było takiego zagrożenia.

– Dlaczego więc nie znajdziesz lepszego zajęcia dla tego człowieka?

– Komandorze Cole, znajdujemy się o czterysta osiemdziesiąt trzy dni lotu od Port Royale w gromadzie Quinellus. Od stu trzydziestu dwóch dni nie zaobserwowaliśmy przejawów obecności nieprzyjaciela. Patrolujemy najbardziej pusty sektor Galaktyki, mając na pokładzie pełną obsadę stanowisk, pięćdziesięciu marynarzy i oficerów. Dlatego najważniejszą rzeczą jest zachowanie wśród nich dyscypliny. Ma pan jakieś sugestie w tej materii?

– Rozumiem – odparł Cole. – Przypuszczałem, że to robota dla samej roboty, ale nie chciałem pytać o to publicznie.

– Dziękuję za taktowne podejście do sprawy. Możesz być pewien, że nie odpowiedziałabym, gdyby nie to, iż jesteście sami z komandorem Forrice’em w jego kabinie.

– Dlaczego dyscyplina jest tak wielkim problemem, skoro nie ma nic do roboty?

– Zajmuję się sprawami bezpieczeństwa i nie mam czasu na pogaduchy – odparła Sharon. – Jeśli chcesz, możesz zapytać o to kapitana albo komandor Podok.

– Zajmę się tym – uznał Cole, przerywając połączenie.

Odwrócił się do Forrice’a.

– Co jeszcze tu się dzieje oprócz handlu prochami? Fraternizacja pomiędzy przedstawicielami tej samej rasy? Międzyrasowa?

– Nie.

– Będzie – zapewnił Cole. – Jeśli *ja* po zaledwie trzech godzinach pobytu widzę, że ludzie wykonują bezsensowną robotę, cała reszta już dawno musiała zdać sobie z tego sprawę. Prawdopodobnie czują się tu bezpieczniej niż w rodzinnych miastach, a to nie są gorliwi i idealistyczni młodzi wojownicy. Fujama mówił, że większość z nich sprawiała problemy, niezależnie od tego, skąd przybyli. To implikuje

brak szacunku do dyscypliny w obliczu o wiele niebezpieczniejszych sytuacji niż aktualna.

– Ma to sens – zgodził się Forrice.

– Nie wydajesz się przejęty.

– Bo tutaj, na Obrzeżach, to naprawdę nie robi różnicy. Jedyną osobą na tym okręcie, która musi pozostać trzeźwa i przy zdrowych zmysłach, jest pilot, ale on został podłączony do tak wielu komputerów, że nie wiem, czy mógłby zwariować, nawet gdyby bardzo chciał.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie to uspokoiło – wyznał Cole.

– Zawsze byłeś takim cynikiem?

– Odkąd wypowiedziałem pierwsze słowo. Chodź, obejrzymy mostek.

Forrice nakazał otwarcie drzwi. W tym momencie komputer ciepłym głosem zaczął wymawiać jego nazwisko.

– Przyszła do mnie wiadomość – usprawiedliwił się.

– Nie ma sprawy. Znajdę drogę.

– Najwyższy pokład. Dotrzesz tam każdą windą. Wszystkie korytarze prowadzą na mostek.

Cole wyszedł z kajuty, znalazł najbliższą windę, nakazał jej wznoszenie, wysiadł i znalazł się w szerokim korytarzu. Po obu stronach widział wiele zamkniętych drzwi, mijał je kolejno, aż dotarł do sporej, wolnej przestrzeni ozdobionej imponującą wielkością wyświetlaczami. Wysoko w przezierniej kapsule siedział pilot Bdxeni – istota o ciele przywodzącym na myśl spory pocisk, zwinięty teraz w pozycji embrionalnej. Pilot miał insektoidalną głowę i wielofasetowe, duże oczy. Sześć grubych przewodów łączyło jego czaszkę z komputerem nawigacyjnym ukrytym za grubą grodzią.

Na stanowisku bojowym siedziała kobieta w oficerskim mundurze. Bezmyślnie patrzyła w ekran komputera wyświetlający dzieła sztuki namalowane przez artystów obcych ras. Oficer pokładowy, wysoki, młody mężczyzna o zmierzwionych włosach, zagroził drogę Cole'owi.

– Nazwisko i stopień, sir? – zapytał.

– Komandor Wilson Cole. Jestem nowym drugim oficerem „Teddy’ego R.”.

Mężczyzna zasalutował.

– Porucznik Władimir Sokołow, sir. Cieszę się, że mogę pana poznać.

– W takim razie niech się pan rozluźni i przestanie mówić do mnie „sir”.

– To nie byłoby rozsądne, sir – zaprotestował Sokołow.

– Zapewne jest jakiś powód.

– Powód w każdej chwili może wrócić na mostek, sir.

W chwili gdy Sokołow kończył mówić, wkroczyła tam samica Polonoi i Cole musiał przyznać, jak wiele razy wcześniej, że jej konstrukcja była niesamowita.

Polonoi byli dwunożnymi humanoidami i mieli średnio po pięć stóp wzrostu. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety tej rasy charakteryzowali się krzepką, muskularną budową, a od góry do dołu pokryci byli miękkim puchem.

Ale tak wyglądali normalni Polonoi, tacy jak sierżant spotkany niedawno w przedziale bojowym. Wielu członków tej rasy służących w armii, a do tej właśnie kasty należała Podok, było genetycznie ulepszonymi wojownikami. Przyozdobieni pomarańczowo-purpurowymi pasami, przypominali z daleka tygrysy o dziwnej

maści, mieli mięśnie o wiele bardziej rozwinięte niż ich współbracia i znacznie szybciej reagowali w obliczu jakiegokolwiek niebezpieczeństwa.

Jednak nie to czyniło z kasty wojowników najbardziej unikalne istoty we flocie, ale fakt, że wszystkie otwory służące do oddychania i jedzenia oraz narządy płciowe i miękkie, a przez to narażone na atak części zostały przemieszczone na plecy. Byli zaprojektowani, by zwyciężać. Kiedy wojownik Polonoi stawał do wroga plecami, odsłaniał swoje najsłabsze punkty. W twarzy pozostawiono im tylko wielkie oczy, którymi doskonale widzieli w ciemnościach dzięki odbieraniu szerokiego pasma podczerwieni, organ mowy oraz wielkie, zawinięte do przodu uszy, które nie pozwalały zbyt dobrze słyszeć tego, co dzieje się z tyłu.

– Kto to jest? – zapytała Polonoi, z wyraźnym akcentem zniekształcającym terrański.

– Nasz nowy drugi oficer, komandorze Podok.

– Jego nazwisko?

– Komandor Wilson Cole – przedstawił się Cole.

Podok spoglądała na niego przez chwilę obojętnym wzrokiem.

– Słyszałam o tobie, komandorze Cole.

– Mam nadzieję, że niezbyt przerażające rzeczy.

– Kiedy o tobie usłyszałam po raz pierwszy, byłeś degradowany i usuwany ze stanowiska dowodzenia.

– Losy wojny – oznajmił Cole z przyjaznym, jak mu się wydawało, uśmiechem.

Podok nie odpowiedziała.

– Cóż, komandorze – odezwał się wreszcie Wilson. – Cieszę się, że będziemy współpracować.

– Czyżby? – spytała Polonoi.

Teraz Cole przyglądał się jej w milczeniu.

– Przyszedłeś tu po coś konkretnego? – zapytała Podok po długiej minucie obustronnego milczenia.

– Zaznajamiam się z rozkładem pomieszczeń przed podjęciem niebieskiej wachty – wyjaśnił Cole.

– Składam raport ze służby przed końcem białej wachty – poinformowała go Podok. – Usunę kody Forrice’a i umieszczę zamiast nich twoje, żebyś uzyskał do niego dostęp.

– Rozumiem, że nic się nie działo przez ostatnie sto dni lub więcej – rzucił Cole. – Dlaczego po prostu mnie nie poinformujesz o odstępstwach od tego stanu?

Podok posłała mu lodowate spojrzenie.

– Składam raport ze służby przed końcem białej wachty – powtórzyła. – Dopiszę twoje kody dostępu, żebyś mógł go przeczytać.

– Jestem niezwykle wdzięczny. – Głos Cole’a ociekał sarkazmem.

– Dobrze – odparła Polonoi. – Powinieneś być.

Podeszła do najbliższego terminalu komputerowego i zaczęła pisać.

– Proszę za mną, sir – powiedział Sokołow. – Odprowadzę pana do windy.

Cole skinął głową i ruszył w jego ślady. Gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, porucznik zwrócił się do niego, szczerząc zęby:

– I co pan sądzi o naszej komandor, sir?

– Myślę, że na tym świecie są rzeczy gorsze od wojny – odparł Cole.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

Wydawnictwo Starship
www.axismundi.pl/imprint/starship

Tytuł oryginału: *Starship: Mutiny. Book One*

Copyright © 2005 by Mike Resnick. All rights reserved

No part of this publication may be reproduced, stored in a retrieval system, or transmitted in any form or by any means, digital, electronic, mechanical, photocopying, recording, or otherwise, or conveyed via the Internet or a Web site without prior written permission of the publisher, except in the case of brief quotations embodied in critical articles and reviews.

Copyright for this edition © 2026 by Starship / Grupa Wydawnicza
Axis Mundi

Projekt okładki i ilustracje na okładce: Tomasz Maroński

Ilustracje wewnętrzne: Tomasz Maroński

Redaktor prowadzący: Marcin Przybyłek

Redakcja: Marcin Przybyłek

Korekta: Ksenia Olkusz

Redakcja techniczna: Antonina Liedtke

Wydanie I

ISBN: 978-83-8412-410-9

ISBN e-book: 978-83-8412-411-6

ISBN abonament: 978-83-8412-412-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie w całości lub w częściach
wyłącznie za pisemną zgodą wydawcy.



Plik przygotował Woblink

woblink

woblink.com

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Karta redakcyjna